

Piotr Zaccone

# Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

18

Kiedy, w godzinę później, Lambertin dojeżdżał do przedmieścia Saint-Nicolas, był jeszcze pod wrażeniem przeżytych wzruszeń, które objęły go taką mocą, że na próżno usiłował je od siebie odpędzić.

Brzmiały mu jeszcze w uszach gorące słowa Berty, a na czole czuł dotknięcie jej ust miękkich.

Wysiadł przed wejściem do miasteczka i odesłał powóz. Potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem i uspokoić rozstrojone nerwy. W piersiach jego wrzał cały huragan pragnień i tęsknot niezaspokojonych.

Szedł długą chwilę, z gołą głową, wchłaniając w siebie świeże powietrze nocy.

Kiedy dochodził już do pierwszych domów i w chwili, kiedy miał minąć mieszkanie pana Durandeau, zatrzymał się zdumiony, ogarnięty nagle zimnym dreszczem.

Ujrzał bowiem, ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, światło w parterowych pokojach domu.

Ktoś znajdował się w biurze.

Ale któż-to mógł być? Czyżby pan Durandeau niespodziewanie powrócił?

Ogarnęło go nagle przekonanie, że natychmiast, kto jest tym nocnym gościem. Ale już nie mógł pójść za tym instynktownym odruchem, bo w tej samej chwili drzwi od mieszkania otworzyły się szybko i dwóch mężczyzn stanęło na progu. Pierwszego Lambertin poznał natychmiast. Był to notaryusz Durandeau, co zaś do drugiego, to nie mógł dobrze rozpoznać jego rysów, chociaż się mu zdawało, że już go gdzieś widział.

Lambertin usunął się szybko w bardziej zacienione miejsce i czekał.

Pan Durandeau towarzyszył nocnemu gościowi aż do furtki ogrodowej, rozmawiając przyciszonym głosem:

— A więc nie chce pan zaczekać, aż zapręgę do powozu — mówił notaryusz.

— Nie, dziękuję panu — odpowiedział nieznamy. — Noc jest bardzo przyjemna i ciepła, książęć wspaniale świeci, przejdę się z ochotą.

— Do widzenia więc.

— Tak, tak, do widzenia, bo myślę, że za jakiś miesiąc będzie znowu coś nowego.

Obydwa mężczyźni rozeszli się po tych słowach.

Lambertin stał w cieniu, nie śmiejąc się poruszyć.

Nieznamy musiał przejść koło niego i był pewny, że z bliska pozna go, bo nagle mu się zdawało, że już gdzieś tę twarz widział.

Zaledwie mógł powstrzymać okrzyk zdziwienia, kiedy, po kilkunastu sekundach zaledwie, nieznamy przesunął się koło niego.

Człowieka tego już po raz trzeci od roku widział w Saint-Nicolas. Kim on był, Lambertin nie wiedział, bo pan Durandeau nie mówił z nim o tem. Wiedział tylko tyle, że nieznamy nazywał się Cypryan Leduc.

W trzy dni po wydarzeniu wyżej opisanem, pułkownik Robert znajdował się w willi swojej przy Polach Elizejskich. Siedział w gabinecie swoim, który przylegał do sypialnego pokoju.

Zadanie, które przedsięwziął, wchodziło na najlepszą drogę, zaledwie kilka mniej znaczących punktów pozostawało mu do rozwiązania.

Od dnia pamiętnej zabawy, wydanej przez niego, wydarzyło się wiele ciekawych rzeczy. Przedewszystkiem Olivia znikła niespodziewanie, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. Dowiedział się tylko tyle, że w dniu zabawy młoda kobieta, powróciwszy do siebie, zapadła w jakiegoś omdlenie dziwne, którego powodu lekarze nie umieli wyjaśnić.

Przez kilka godzin walczyła między życiem a śmiercią. Można było sądzić, że podległa jakiemuś złośliwemu zatruciu, tylko, że nigdzie nie było można odkryć najmniejszego śladu trucizny. Najpoważniejsi lekarze zawadzali natychmiast, nie mogli nic orzec stanowczego, gdyż wszelka stanowcza dyagnoza wymykała im się

z powodu nieznanego i coraz to nowych objawów choroby.

Poradzili wkońcu Olivii, kiedy pierwsze groźne symptomy ustąpiły, aby bezzwłocznie wyjechała do Nizy. I wówczas to młoda kobieta nagle opuściła Paryż. Ale nikt właściwie nie wiedział, czy posłuchała rady doktorów i czy udała się tam rzeczywiście. Może podażyła w Alpy w poszukiwaniu za powietrzem żywszem i chłodniejszym? Pułkownik Robert nie umiał na to znaleźć odpowiedzi. Zapewne on sam musiał wiedzieć, czemu przypisać nagłą chorobę młodej kobiety i nie uznał za potrzebne zbadać dokładnie kierunku jej podróży.

Skoro wyjechała, obojętnie mu było, w którą udała się stronę. Spodziewał się codziennie wiadomości o jej śmierci i to mu zupełnie wystarczało.

Co zaś do barona d'Esclairs, rzecz się przedstawiała inaczej. Kiedy przy pojedynku z pułkownikiem otrzymał był niewielką, pozornie nieznaczną ranę, zachorował również dosyć niebezpiecznie w tajemniczy sposób, bo nie można było przypuścić, aby z tak niewinnej ranki mogły wypłynąć tak poważne dla jego zdrowia konsekwencje.

Na szczęście jednak, baron d'Esclairs, chociaż nie zbyt młody, miał organizm dosyć silny i odporny i przy pomocy silnych, reakcyjnych środków, po upływie miesiąca, stanął na nogach, ale utracił dawne swoje zdrowie. Stracił dawną swoją żywotność, którą w nim podziwiali wszyscy. Policzki jego wpadły lekko i gęste jego włosy przerzedziły się trochę nad czołem, a oczy jego, dawniej żywe i błyszczące, pokryte były obecnie mgłą jakąś chorobliwą.

Z pięknego dawniej barona d'Esclairs pozostał cień tylko, a przyjaciele jego stracili nadzieję utrzymania go długo przy życiu.

Z tej strony więc pułkownikowi Robertowi nie groziła żadna przeszkoda ważna — mógł spokojnie oczekiwać owoców swojej podstępnej i okropnej zbrodni.

Pozostawało tylko to dziecko nieznane, które Bonnet z Indyi wskazał w testamencie, jako swojego uniwersalnego spadkobiercę — a co do tego punktu, wiadomo już, jaką obrał decyzję.

Nie znając sukcesora i nie mogąc go usunąć ze swej drogi, postanowił stać się panem testamentu i zniszczyć go, aby raz na zawsze zabezpieczyć się przed ewentualnymi prawami prawdziwego spadkobiercy.

W każdym razie czyniąc w ten sposób, uchronił się od popełnienia jeszcze jednej zbrodni i chociaż względ taki nie byłby go wkońcu powstrzymał, wolał w tym wypadku posłużyć się mniej bezwzględny środek.

Pułkownik Robert umiał sobie niezaprzeczenie przygotować teren dalszego działania. Berta przejęła się wyśmienicie narzuconą jej rolę. Bardzo łatwo doprowadziła Lambertina do zupełnego oszołomienia i łatwym było do odgadnięcia, że nieszczyśny człowiek, rozkochany w niej do szaleństwa, stanie się biernym narzędziem w jej rękach i uczyni wszystko, co od niego wymagać będzie.

Berta od trzech dni powróciła z Saint-Nicolas i przez ten czas otrzymała stamtąd trzy listy!

Te trzy listy wskazywały, że oddalenie potęguje tylko szaleństwo Lambertin'a i doprowadza go do ostatnich granic zapomnienia i uległości wobec pokochanej kobiety! Odtąd można było uważać tego człowieka za nieodwołalnie zgubionego.

Nieszczęśliwy usiłował jeszcze chwilami walczyć z sobą. Bronił się w pewnych okresach z energią, która wykazywała potęgę jego miłości i bunt uczucia uczciwości i honoru, w których żył dotąd. Ale widać było w każdym wysłanym liście, iż walka ta przycichała, że namiętność brała górę nad wszelkimi rozumowaniami i że poprostu wisiał już na skraju przepaści, w którą się miał wkrótce potoczyć.

W jednym ze swoich listów pisał do Berty:

„Kocham Cię Kocham Cię do szaleństwa. Myślę tylko o Tobie i przez Ciebie żyję! Jeżeli uczucie to mnie zwalczy, jeżeli uczynię to, czego zażądałaś odemnie, nie zapominaj, że związałaś się ze mną słowem obietnicy, że obiecałaś mi miłość swoją — i kochaj mnie tak, abym mógł zapomnieć o tem, co uczynię dla Ciebie“.

Berta zaś odwrotnie odpowiedziała pod dyktando pułkownika:

„Oczekuję Cię, nie daj mi długo czekać na siebie i pamiętaj, że nie Ty tylko cierpisz nad naszym rozłączeniem“.

Wszystko więc szło jak najlepiej i po myśli pułkownika Robert. Należało tylko cierpliwie czekać rezultatów tak owocnej i intensywnej pracy.

Od czasu do czasu jedynie nieprzyjemne wspomnienie Cypryana Leduc zaciemniało jasny widnokrąg jego myśli i wywoływało przykrą zmarszczkę na czole.

Nie widział go od owego spotkania nocnego w Belleville i nie wiedział, co tamten przeciw niemu knuje. W rzeczywistości nie potrzebował się go obawiać.

Nikt nie mógł go podejrzewać o zbrodnię, dokonane w lasach Argońskich, ani też w Saint-Nicolas. Pozornie bowiem nie wiązało go nic z sukcesją Bonnet'a z Indyi, a w dniu, w którym ta sukcesja do podjęcia zostanie — w grę wejdzie Gilberta, a nie on.

Jednakże stary archiwista wydawał się pułkownikowi osobą tajemniczą, z którą się należało liczyć. Znał on prawdziwego spadkobiercę i w razie, gdyby sprawa z Lambertin'em nie odniosła żadnego skutku — byłoby rzeczą użyteczną porozumieć się z Cypryanem Leduc i wejść z nim w układy. W tym celu rezerwował sobie jego pomoc i pamiętał o nim, prowadząc zresztą dalej ryzykowny plan usunięcia testamentu.

Tymczasem rzecz dziwna i niewytłumaczona rozgrywała się równocześnie w Belleville, gdzie znajdowała się Gilberta. Ażeby uniknąć wszelkiego spotkania młodej dziewczyny z Jerzym, pułkownik umieścił ją w domu, zamieszkanym przez panią Bruchon, która mu oddaną była zupełnie. Gilberta przebywała tam pod ciągłym i ostrym dozorem, a pułkownik mógł być spokojny, że stara Bruchon wywiąże się dobrze z powierzonego jej zadania. Była za dobrze zapłaconą, aby zlecenie pułkownika lekceważyć sobie mogła.

Tylko, rzecz dziwna, czujność ta była zbyt, bo od dnia rozmowy pułkownika z Jerzym, gdy go przychwycił w towarzystwie Gilberty, młody człowiek gdzieś znikł i pułkownik nie wiedział, co się z nim stało. Nikt go nie widział blakającego się, jak to było przypuszczalne, po ulicy Pixecourt, żaden list nie doszedł do rąk Gilberty. Można było tylko przypuścić rzecz jedną, że młody człowiek, znudzony sytuacją i przeszkodami, odstąpił od urzeczywistnienia marzenia, jakim się przez czas pewien ludził.

Jednakże to wyjaśnienie nie wydawało się prawdopodobnem starej Bruchon. Wiedziała, nauczona już długoletniem doświadczeniem, że zazwyczaj trudności nie osłabiają miłości tak młodych ludzi, jak Jerzy, ale przeciwnie, potęgują ją i czynią niezwalczoną. Po długich rozmyśleniach, postanowiła przekonać się, jak rzeczy stoją i czy jej przewidywania są prawdziwe i jednego dnia udała się prosto do mieszkania Cypryana Leduc, gdzie, ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedziała się, iż Jerzy nie pokazał się tam od szeregu tygodni. Dopytywała się ciekawie, czy nie wyjechał w podróż i kiedy powróci, wkońcu, czy wiadomym był powód jego zniknięcia, ale nic konkretnego dowiedzieć się nie mogła.

Zaciekawiona i zła, powróciła do domu i przy pierwszej sposobności opowiedziała wszystko pułkownikowi.

Była to przecież jakaś tajemnica, a pułkownik należał do ludzi, którzy lubią jasne sytuacje.

Ale w tym czasie był on tak pochłonięty sprawą testamentu, że nie zwrócił wielkiej wagi na zniknięcie Jerzego i przekonał starą Bruchon, że młody człowiek oddalił się pewnie na czas jakiś z miejsca, w którym przebywała Gilberta, rozpaczony faktem, że dostępu do niej mieć nie mógł!

O tych to różnych rzeczach myślał pułkownik Robert po powrocie swoim z Marsylii, siedząc w gabinecie swoim przed biurkiem.

Zapałił cygaro i rozmyślając, otaczał się kłębami wonnego dymu. Przeżywał w myśli wszystkie wypadki dni ostatnich i dobre nadzieje na przyszłość, ukazujące się z listów Lambertin'a i wyraz zadowolenia i wielkiej pewności siebie osiadł na jego ciemnej twarzy.

— Wszystko idzie jak najlepiej — szepnął po chwili — Berta doskonale wywiązuje się ze swojej roli i jeżeli dalej potrafi utrzymać tego głupca pod wpływem swoim, zwycięstwo moje niedaleko!

Wstał z fotela i pogwizdując wesoło podszedł do okna. W tej samej właśnie chwili do-